

... archipelagi ...

Jacek Dehnel

Lala





. . . w serii ukazały się . . .

Dawid Bienkowski *Nic*
Adam Czerniawski *Narracje ormiańskie*
Manuela Gretkowska *My zdies' emigranty*
Manuela Gretkowska *Kabaret metafizyczny*
Manuela Gretkowska *Tarot paryski*
Manuela Gretkowska *Podręcznik do ludzi*
Manuela Gretkowska *Namiętnik*
Henryk Grynberg *Drohobycz, Drohobycz*
Mariusz Grzebalski *Człowiek, który biegnie przez las*
Radosław Kobierski *Harar*
Włodzimierz Kowalewski *Światło i lęk*
Wojciech Kuczok *Gnój*
Wojciech Kuczok *Opowieści przebrane*
Wojciech Kuczok *Widmokrąg*
Marian Marzyński *Sennik polsko-żydowski*
Janusz Rudnicki *Mój Wehrmacht*
Sławomir Shuty *Cukier w normie z ekstrabonusem*
Sławomir Shuty *Zwał*
Mariusz Sieniewicz *Czwarte niebo*
Mariusz Sieniewicz *Żydówek nie obsługujemy*
Marek Soból *Mojry*
Jerzy Sosnowski *Wielościan*
Jerzy Sosnowski *Prąd zatokowy*
Magdalena Tulli *W czerwieni*
Magdalena Tulli *Sny i kamienie*
Magdalena Tulli *Tryby*
Magdalena Tulli *Skaza*
Witold Wedecki *Czarne rondo*

. . . a r c h i p e l a g i . . .

Jacek Dehnel

Lala

Patronat medialny



Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2006
Wydanie I
Warszawa 2006

Rozdział I

Już teraz dom w Oliwie wygląda inaczej. A kiedy babcia umrze, a umrze niebawem, i mogę to napisać zupełnie spokojnie, bo po pierwsze, dawno wszyscy pogodziliśmy się z tą myślą, a po drugie, ona i tak tego nigdy nie przeczyta, bo w ogóle już nie czyta, wszystko się zmieni nie do poznania. Rzeczy zostaną odziedziczone i będą sobie musiały znaleźć inne półki i szafy w innych mieszkaniach. Stendhal z Julkową dedykacją, który przez ostatnie trzydzieści lat stał grzbiet w grzbiet z *Trzema opowieściami* Flauberta, stanie pomiędzy innymi książkami. I co będzie ze zbiorami szkła, z tymi trzema czy czterema setkami wazonów, kielichów, dzbanów i buteleczek, czerwonych, szafirowych, żółtozielonych, z bąbelkami i bez, opalizujących, spękanych, oszronionych?

Kiedy tak siedzi jak stara chińska cesarzowa, niepomna władzy ani powinności, okutana w jakieś pleidy i wielkie kamizele, w końcu taka chudziutka, lekka i drobna, trudno ją połączyć z naszą pamięcią, w której nie ma miejsca na wycieranie nosa, pampersy i ciągłe milczenie. Tyle tylko, że się uśmiecha – dlatego możemy się pocieszać, że jest na swój sposób szczęśliwa, ale to tak jak mówienie o uczuciach ukwiału albo rafy koralowej.

Więc taki jest koniec tej historii. A gdzie się zaczyna?

Może w Lisowie? W małym, zaprzyiałym, pachnącym opadłymi jabłkami Lisowie, który tak mnie rozczarował, gdy wybrałem się w podróż do tej obiecanej ziemi, do Kanaan, którego geografię znałem doskonale z jej opowieści, wiedziałem, gdzie furtka, którą otwierał łbem koń, gdzie salon, gdzie pokój ciotki Róży, gdzie popiersia Napoleona i Lenina, gdzie wielki stół, na którego rogu złodzieje kładli srebra, i wreszcie gdzie biurko, z którego dziewięćdziesięcioletnia praprababcia Brokłowa spędzała Niemca. A tu co? Najokazalszą częścią dworu był komin, wokół którego stały resztki murów. Rysowały na ziemi jakiś niewyraźny prostokąt, miejscami wysoki na pół metra, miejscami na metr, z pewnością znacznie mniejszy niż dawny dwór, bo przez środek kilku pokojów przeprowadzono miedzę i na dawnym miejscu fortepianu rosły kartofle albo gryka.

Nie, może raczej w czynszowej kamienicy na prospekcie takim a takim, niezły adres w Kijowie, gdzie mieszkały trzy rodziny – Bienieckich, Karlauchowów i Korytków, a moi ry oplatały ich apartamenty zawikłaną siecią niteczek?

A może wreszcie w owej dziwnej przestrzeni, której za nic nie potrafię sobie wyobrazić, bo nie jestem młodym-polskim-zbuntowanym-pisarzem-jeżdżącym-na-wschód, w owej dziwnej przestrzeni zwanej Ukrainą, gdzie rosły inne od naszych rośliny i mieszkali inni od naszych ludzie, mówiący studziennymi, ale śpiewnymi głosami, ci chłopcy chodzący w zgrzebnych płóciennych

koszulach, którzy z kłonicami i widłami gonili automobil prapradziadka Brokla?

Nie wiem, gdzie zacząć tę historię, bo przecież zaczynałem ją tyle już razy; i teraz, i dziesięć lat temu, kiedy z emfazą właściwą piszącym czternastolatkom umyśliłem sobie tytuł: *Gazale polskie*, bo gazala to „wiersz jak sznur pereł”, więc do osobnych i połączonych zarazem wątków narracji babcinej nadaje się wymienienie; i wreszcie tyle jeszcze razy, kiedy niczego nie zapisywałem, tylko opowiadałem moim przyjaciołom, kuzynkom, ukochanym i pasażerom ekspresów relacji Gdańsk–Warszawa i Warszawa–Gdańsk.

Prawda bowiem leży gdzie indziej. Historia tak naprawdę zaczyna się, jak zwykle, kawałkami, to tu, to tam, w najróżniejszych miejscach i ciałach, które przeważnie od dawna nie istnieją, a jej szafarką, klucznicą była dotychczas babcia. Babcia wykonana z rzetelnych i trwałych materiałów, która po drobnych naprawach i poważniejszych remontach jeszcze parę lat temu zachowywała tyle blasku i wdzięku, że kiedy przyjeżdżali do mnie z wizytą przyjaciele z odległych krain, prowadziłem ich właśnie do niej, bowiem to właśnie ona spośród wszystkich zabytków mojego północnego miasta wydawała się najbardziej fascynująca.

*

Do uroków babci – w czasach, kiedy jeszcze mówiła – należały początki opowieści. W gruncie rzeczy była (i jest) to zawsze jedna i ta sama opowieść, zawikłana i pociemniała nie do poznania pod warstwami różnorodnych werniksów i sadzy, zaczynająca się w mnóstwie

miejsc i w zasadzie nigdy się niekończąca, najwyżej przerywana z końcem wizyty lub z zapadnięciem zmroku. Dodajmy, że zapadnięcie zmroku w sensie końca rozmów i początku ceremonii kładzenia się spać, następuje w Oliwie najwcześniej koło północy i nie zawsze jest definitywne, bo wielka historia ma to do siebie, że rozkłącza się, rozkłębia, rozrasta po peryferiach i w najmniej oczekiwanych chwilach, i tak naprawdę to ona nas okiełzuje, a nie my ją.

Początek przeważnie zaplata się jak jakiś na wpół roślinny wąż, na wpół zwierzęcy chwytny ogon; owija się wokół przedmiotu, osoby, zapachu, anegdotki, a potem szaleje, szaleje, puszcza odrosty i rozplenia się w całe zagajniki słów i point; niepowstrzymywany, mnoży się bez ładu i składu, studzi herbaty, rozgotowuje makaron, płoszy z pamięci ważne sprawy. Ot co.

Może wyglądać na przykład tak: „Kiedy byłem z wizytą u hrabiów Krasieńskich i zrzuciłem z gerydonu araukarię...”, albo: „Kiedy dziadek Leonard stał przed carskim plutonem egzekucyjnym...”, albo wreszcie, dajmy na to: „Kiedy w Lisowie jakiś złodziej wyciął sierocie z pola całą kapustę...” – słowem, nigdy nie wiadomo, gdzie się znajdzie słuchacz, zaglądający do środka świata przez nagle odsłoniętą soczewkę. To znaczy: przypadkowy słuchacz, jeśli bowiem idzie o nas, znamy historię – pokawałkowaną na osobne rozdziały, ale zawsze – w najdrobniejszych szczegółach.

– Kiedyś, wyobraźcie sobie, babcia Wanda, a miała już wtedy dziewięćdziesiątkę z hakiem, koło południa po prostu znikła z Lisowa. Środek wojny, wszędzie Niemcy. Szukamy tu, szukamy tam, nie ma wolanta i nie

ma woźnicy. Biegamy, martwimy się... co macie takie miny?

– Znamy.

– Znacie? – babcia pyta z niedowierzaniem, ale wcale się nie peszy, nic a nic – to jak się kończy?

– Wróciła od fryzjera...

– Faktycznie znacie – babcia zasepia się na chwilę, ale w mgnieniu oka odzyskuje rezon – ale to wcale nie szkodzi. Kiedyś, wyobraźcie sobie, babcia, a miała już wtedy dziewięćdziesiątkę... no i wróciła. Z trwałą ondulacją. „Mam ponad dziewięćdziesiąt lat – powiedziała – i głupio byłoby umrzeć, nie mając ani razu trwałej ondulacji”.

*

Margot chodzi po moim pokoju z filiżanką w dłoni i szuka czegoś nowego. Kiedy ja ją odwiedzam, robię to samo. „Skąd to masz?” – pytam. „A to co?” – pytam. Jej świat jest bardzo piękny i harmonijny, to znaczy, że wszystkie jego części są równie fascynujące. Margot ma na imię Małgorzata, czyli Margherita, czyli Perła, a perła w każdym miejscu jest równie perłowa.

Podchodzi teraz do szafki i podnosi zdjęcie.

– Kupiłeś na Kole?

– Nie, to z domu. Uprosiłem u babci, bo zostały takie dwa.

Prawie nie mam jej fotografii z dzieciństwa. Nie wiem, jak wyglądała babcia Wanda, dziadek Leonard, wuj Maciej, ciocia Ewa, ciocia Sasza, Milewski, Apollo z szelkami, nie wiem nawet, jak wyglądał Lisów. Podczas ofensywy Rosjanie – Radziety lub Sowietci, mówi babcia,

Rosjanie to byli przed rewolucją, a potem była radziecka tłuszcza – rozpalili w kominku zdjęciami, które leżały w wielkiej drewnianej skrzyni stojącej w sieni. Spłonęła fotografia Romusi nad kopą jaj, którą musiała codziennie, jajko za jajkiem, wypijać, co i tak nie pomogło na jej galopujące suchoty, spłonęła fotografia dziadka Brokla w białym prążkowanym garniturze, wspartego o lśniąca karoserię pierwszego automobilu na Ukrainie, spłonęły fotografie ojca w nieodmiennym kapeluszu na nieodmiennie łysej głowie, spłonęły fotografie mamy w luźnych sukienkach, spłonęły pocztówki z dalekich miast o szumnych nazwach i sepiowe reprodukcje rzeźb i obrazów z przestronnych sal odległych muzeów.

Nie ma twarzy. Nie ma dłoni. Nie ma futryn, stołów, grafik, stosów czasopism i książek o złożonych brzegach.

Tych parę, dosłownie parę sepiowych migawek... przynajmniej tyle. Prababcia wyprostowana jak struna, wcięta w tali, wsparta na czarnej parasolce, w tle światło przesiane przez liście obcych drzew, chyba platanów, i umieszczony w rogu biały podpis „Abbasia”.

Mój Boże... Abbasia...

– Mama miała takie piękne proporcje – słyszę zza pleców głos babci – takie piękne... wygląda na wysoką, a taka była maleńka, sięgała mi o tu, do ramienia, kiedy byłam młoda, teraz pewnie do policzka, tak się maleje... ale i tak, spójrz no, proporcje wysokiej kobiety, a do tego taka wcięta w pasie. I zawsze poruszała się biegiem, drobnym truchcikiem; nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek normalnie szła. Jak była chora, szurała powoli nogami, tak samo ostatniego dnia, kiedy

umarła, siedząc w tym fotelu... ale żeby zwyczajnie szła?
Nie. Zawsze biegła.

*

Kiedy świat był jeszcze bardzo młody, w miastach stiukowo-złocony, na wsiach ciężki od zapachu leżących w trawie owoców i krowiego nawozu, ludzie byli mniejsi. Może nie mieli się po co wspinać i rzadziej niż dziś stawali na palcach, może jedli, nie stosując się do mądrych zasad zdrowego żywienia, i rozrastali się w innym kierunku, a może po prostu nie zależało im na byciu wyższymi, bo wszystko, czego im było trzeba, znajdowali w bliskości ziemi.

Dziadek Leonard miał metr pięćdziesiąt z kawałkiem, kruczoczarne włosy – dopóki nie zmienił się w białego kruka – śniadą cerę i błękitne oczy.

„Wandeczka – pisał w pamiętniku, który po jego śmierci babcia odnalazła z Julkiem w szufladzie intarsjowanego biurka – uważa, że ja jestem nie Brokl, że jestem hrabia, de Broglie, tylko zniekształcone, bo mam taką południową urodę. Ale z tego, co wiem, tośmy z biedy na psach przyjechali z Niemiec i osiedli tutaj, Brokle z dziada pradziada, najwyżej Brockle...”

Tamtego zimnego styczniowego dnia Sowieci spalili wszystkie fotografie dziadka, więc kruchy układ miękkich tkanek pokrywających jego szkielet formalnie przestał istnieć dla przyszłych pokoleń. Próbowałem sobie nieraz wyobrazić tego pogodnego, dobrze wyowanego starszego pana (który całe życie zdawał się być starszym panem, bo takim zapamiętała go jego wnuczka), miłośnika i kolekcjonera sztuki, bibliofila i erudyte,

który z zawodu był chemikiem, a z życia – posiadaczem ziemskim, choć i jedno, i drugie nie wychodziło mu najlepiej.

– A pan starszy – powiedział mi skulony, stary Tarapatka, kiedy wybrałem się do Kanaan – to w niedziele po sumie kupował pod kościołem torbę cukierków i my, dzieci, bieглиśmy za nim aż pod dwór, bo wszystkie te cukierki rozdawał... pan starszy to pana babci dziadek, pan dziedzic.

Pan dziedzic wcale nie urodził się dziedzicem, tylko mieszczuchem, i to biednym. Po polsku mówił chyba w pierwszym pokoleniu i nie dam głowy, czy nie przyszedł na świat w Niemczech. Ale skoro nauczył się polskiego, to nauczył się i kontusza, i karabeli, i husarii, zatętniły w nim jakieś tętna słowiańskie i z właściwą osiemnastolatkom fantazją postanowił bić się w powstaniu styczniowym, po czym pojechał na Sybir jako prawdziwy polski patriota.

W bliżej niespamiętanych okolicznościach dziadek Brokl skończył studia chemiczne, wrócił z Syberii, zamieszkał w Kijowie, poznał na wylot najtajniejsze zagadnienia cukrownictwa, doszedł do stopnia profesora i poślubił babcię Wandę, która była kobietą bardzo mądrą, ale niezbyt inteligentną, a następnie spłodził czworo dzieci i został milionerem.

Myliłby się ten, kto teraz wziął biednego Leonarda Brokla za starannie zakamuflowanego rekina finansjery. Dziadek nie znał się ni w ząb na stopach procentowych, dywidendach czy kursach; pędził życie pijanego dziecka we mgle. Traf chciał jednak, że ktoś poradził mu wykupić spory pakiet akcji pewnej firmy. Ten sam albo inny traf

chciał, że akcje w kilka dni bardzo zyskały na wartości, bo cesarstwo przeżywało właśnie boom gospodarczy. Dziadek zaś, którego ta rozrywka najwyraźniej bawiła, ruszył oszczędności i dokupił jeszcze parę pakietów. A że akcje znów ruszyły w górę, w przeciągu miesiąca stał się jednym z najzamożniejszych ludzi w Kijowie.

W ten sposób powinny się kończyć wszystkie historie.

Ale na ogół, niestety, trwają dłużej.

Dziadek kupił sobie cukrownię, automobil i wielki dom. Podróżował po całym świecie, skupując obrazy, lakowe parawany, rzeźby i meble; prowadził korespondencję z uczonymi cukrownikami w Berlinie i Paryżu.

– No i stąd te koszule w Lisowie – mówiła babcia, składając zdjęte ze sznurów pranie, kiedy już wysuszyło się w wietrzyku południa – dziadek podróżował po Europie i co rusz uskarżał się na tamtejsze pralnie, że źle piorą, że stawiają stemple, gdzie popadnie... zresztą, sama się o tym przekonałam, bo kiedy Julek oddał w Brukseli koszule do prania, to mu wbili stemple na gorsie i potem jeszcze się dziwili, że zrobił im awanturę. Dziadek nie robił awantur – po prostu kupował tyle koszul i kołnierzyków, ile potrzebował, i wracał do Kijowa, do Mnina, do Morawicy z kuframi pełnymi bielizny. Jeszcze z Lisowa, wiele lat później, chłopci wynosili te koszule całymi koszami. Rozumiesz, suszyły się na sznurach, to oni myk-myk, i już połowy nie ma. Albo wieczorem, stały w koszach pod oknem, to wślizgiwali się cichutko i rano nie było ani śladu. A i tak szafy były pełne.

Babcia Wanda z Dziewiątkiewiczów była niziutką, drobną kobietą o stosownym do jej rozmiarów rozumku. Dożyła sędziwego wieku lat dziewięćdziesięciu – może dlatego, że jej niewielkie ciało zużywało małe porcje czasu, a doniosłe wydarzenia oszczędzały ją, omijając szerokim łukiem. Jeszcze jako małą Wandeczkę po śmierci rodziców oddano ją do klasztoru, wielkiego szarego budynku o grubych murach i długich korytarzach, po których całymi dniami niesło się cichutkie echo drobnych kroków zakonnic i pensjonariuszek, z każdą sekundą uświadamiając im, jak małe są wobec potęgi Pana i zagadnienia posagu. I stamtąd, z kamienno-drewnianego relikwiarza osadzonego gdzieś we wschodnich puszczech, między matecznikami, w których roilo się od strzyg, i jeziorami pełnymi topielców, zabrał Wandeczkę Leonard Brokl, który wrócił z zesłania i postanowił wstąpić w okowy małżeńskie. A kiedy Wanda zechciała Niemca, ten poślubił ją przed Panem, na dobre i na złe, nieświadomy faktu, że za jakiś czas zostanie milionerem. Wandeczka była tego faktu nieświadoma bardziej jeszcze niż Leonard, który był przynajmniej mężczyzną, miał jakieś plany swoje i zamiary, wykluwające się powoli w zwojach jego naukowego mózgu; a ona – cóż ona? Czy jeśli się jest sierotą z klasztoru, pozbawioną niemal posagu, to czeka się na milionera?

I tak jak w nabożnej opowieści, cnota skromności i rezygnacji została nagrodzona bogactwem, przepychem i rozkoszami świata – logika pobożnych opowieści na ogół jest podejrzana – a Wandeczka trafiła w kręgi wielkich tego świata – świata Kijowa 1875 roku, skrzącego się od świec płonących w wysokich kandelab-

brach, migającego w salach balowych toaletami z Paryża i frakami z Londynu, spływającego strumieniami szampana i strugami perł.

– Ponoć strasznie się kochali; babcia Wanda opowiadała mi, ach, ach, że dziadek to wycalowywał ją całą, calutką, od stóp do czubka głowy, ani jednego skraweczka ciała nie zostawił bez pocałunku – i babcia chichocze, nieświadoma chyba faktu, że tak samo chichotała pewnie jej babcia, opowiadając to swojej wnuczce – nie wiem, co on w niej widział, bo nie była ani wielkiej urody, ani inteligencji... przez dwadzieścia pięć czy trzydzieści lat mieszkała w Kijowie i nie nauczyła się rosyjskiego, tylko trochę dukała po francusku; tyle, co z klasztoru. Była w tych wszystkich Paryżach i Rzymach, Brukselach i Wiedniach... no, oprócz Londynu, Nowego Jorku i Japonii, bo kiedy raz wypłynęli na Kanał La Manche, to dostała takiej choroby morskiej, że trzeba było zawrócić statek... lekarz powiedział, że nie przeżyje do drugiego brzegu... i odtąd, jak mawiał złośliwie Julek, dziadzio jeździł tylko za wielką wodę... ale ja nie o tym. Rozumiesz, podróżowała i podróżowała, ale co się spytałam, jak to w Galerii Drezdeńskiej, a jak w Muzeum Starożytnym w Berlinie, to mówiła, że w Dreźnie fatalne sklepy, a z Berlina przywiozła sobie piękny jedwab, ale galerii to nie pamięta; dziadek po tym latał, czymś się ekscytował, kupował dzieła sztuki, ale ją to nudziło. Za to miała wiele życiowego sprytu, dzięki czemu ładnych kilka razy ocalała życie Leonardowi Broklowi, który, jakkolwiek niewysoki, całymi dniami chodził z głową w chmurach, był łatwowierny i niezadowolony jak dziecko.

Tu następuje historia, którą babcia opowiada zawsze wtedy, kiedy ma do czynienia z jakąś skomplikowaną maszyną. Wystarczy, by przy śniadaniu – o, niebywałe śniadania oliwskie, zasługujecie na osobny akapit! – grzanki wyskoczyły z głośnym trzaskiem z tosterka, wystarczy, by rodzice przywieźli czajnik elektryczny („Coś takiego! Ja myślałam, że go sobie w try miga spalę, bo nie gwizdże, a jak nie zagwizdże, to zapomnę, a tu, proszę, sam się wyłącza! No, wprawdzie trwa to za krótko, bo zwykle zdążyłam nastawić wodę, pokroić bagietkę, posmarować masłem, zrobić kanapki, przygotować ogórki i pomidory, i dopiero wtedy czajnik piszczał. Wtedy zalewałam herbatę w imbryczku wrzątkiem i stawiałam koło czajnika, żeby nie stygło... a teraz raz-dwa. Ale za to na wierzchu ten nowy czajnik jest taki płaski, to tam stawiam imbryczek”), wystarczy, by ktoś reperował piekarnik czy pralkę, a babcia na to:

– No proszę, taka pralka (toster, radio, latarka). Ile w tym śrubek, ile tych blaszek i pokręteł, i lampek. Znasz, jak dziadek Brokl jechał przez Ukrainę?

– Nie znam – mówię, ale babcia albo nie słyszy w tym ironii, albo nie chce jej usłyszeć.

– Dziadek miał samochód, pierwszy na Ukrainie. Miał oczywiście w komplecie szofera, ale często prowadził sam, ot tak, dla przyjemności. Były takie zdjęcia, jak stoi przy aucie w zsuniętych na czoło okularach do jazdy, w rękawiczkach specjalnych, w prochowcu narzuconym na garnitur w prążek... taki luksusowy i schludny od stóp do głów, jakby go wyprodukowano razem z samochodem i kompletnym strojem tylko do tej fotografii. No, ale jeśli jeździł z babcią, to brali szofera i płynęli

przez dzicz ukraińską, przez bezkresne pola i lasy, po nieprzyjaznych drogach, pod niebem bezmiernym. Burzany, rozumiesz, i tak dalej. I kiedyś tak pod tym bezmiernym ukraińskim niebem musieli się nagle zatrzymać na środku gościńca, bo obstała ich czereda zarośniętych ukraińskich chłopów, na wpół wściekłych, na wpół przerażonych, potrząsających sierpami, siekierami i kłonicami, wrzeszczących bez ładu i składu, że to czort jedzie. Dziadek już kazał szoferowi przedzierać się przez tłum, ale babcia wzięła sprawę w swoje drobne, bohaterskie ręce, kazała sobie otworzyć, wyszła na drogę, podniosła woalkę i spytała się – oczywiście po polsku, bo po ukraińsku nie umiała – co to za pomysły z tym czortem. To oni wrzeszczą, ale już ciszej, że to czort jedzie, czartowska karetka, bo bez koni, a się rusza. Babcia: „A parowóz widzieliście?” Nie widzieli. „A sieczkarnię znacie?” Nie znają. Wreszcie doszła do jakiejś młockarni, czy czegoś – i znali. „Ale – dowodzą spryciarze – młockarnia silnik ma!” „A to też ma” – odparła babcia, wywołała ze środka szofera, który już kurczowo ścisnął w dłoniach ciężką korbę, przydatną w razie walki wręcz, kazała mu otworzyć klapę samochodu i pokazać chłopom silnik, chłodnicę i co tam jeszcze. I odstąpili. Ba, wysłali do następnych wsi wiadomość, że to nie diabeł, że silnik ma – i odtąd już ich nie zaczepiano.

Rozdział II

Tutaj należy się kilka słów porządkowych. Opowieść babci, jak już wspominałem, nie ma ram ani krańców – jest rozmyta, rozgałęziona wszere i w głąb, nieogarniona. Co więcej, wszystko, co tutaj zapisuję, opowiadałem już wiele razy, bo przecież wiele z tego, co opowiadała babcia, było kiedyś opowiadane jej przez innych. Powtarzanie rzeczy pięknych i mądrych jest piękne i mądre samo w sobie i należy do takich samych cnót, jak karmienie głodnych, opiekowanie się zwierzętami, podlewanie roślin i udzielanie jałmużny.

Ale opowiadanie dokonuje się w czasie, i to podwójnie – raz, że opisuje czas miniony, wydany, upłyniony, ułożony w sprawdzalne chronologie i układy zdarzeń, a dwa, że opisuje go również w czasie – w czasie rozmów. I tak pojawi się tu mnóstwo postaci, które wydają się z pozoru nieistotne. Znajomi i znajome, przypadkowi przechodnie, bliższa i dalsza rodzina, a nade wszystko moje przyjaciółki i moi przyjaciele – nie bohaterowie, lecz słuchacze. Ale jakże inne są historie dla każdego z nich! O ileż prostsze, odarte z wdzięku, jeśli są tylko ilustracjami zdarzeń, skróconą kroniką z kuriera na potrzeby pani Władzi albo pani na rynku – a jak skrzą się dowcipem, jeśli babcia się postara... Jeszcze kilka lat temu, kiedy większość dawnych bywalców

imienin i urodzin już wymarła, babcia robiła się nieraz na bóstwo i królową salonu, i to z reguły dla moich przyjaciół, stąd ich obecność w tej historii. Zresztą, jeśli są w moim życiu – są również w życiu babci, podobnie jak Jadzia Kontrymówna czy japoński szpieg, wszyscy owi obcy, a jakże moi ludzie.

*

Będą się więc pojawiali, i to w całkowicie nieokreślony sposób. Proszę się zatem nie dziwić, jeżeli jakaś historia będzie przy kimś rozpoczynana, a kończona w obecności kogoś innego. Należy to do sekretnej natury opowieści; podobny początek może też oznaczać różne końce, a różne początki mogą prowadzić do tego samego finału. Wszystko to podlega wielkiej narracji, zaczynającej się gdzieś w Kijowie, pod dobrym adresem, w wielkiej kamienicy z kariatydami... i jedynie ona porządkuje owe epizodyczne, choć w gruncie rzeczy potrzebne postaci, którym jest opowiadana. Tak oto czas miniony będzie układał czas mijający.

*

Są też i takie historie, które przekazujemy nielicznym. Nie dlatego, że kto inny nie zrozumiałby ich morału albo nie śmiałyby się z ich pointy; nie dlatego, że chcielibyśmy je zachować na specjalne okazje; po prostu niektóre opowieści pędzą do niektórych ludzi na łeb na szyję, lecą, fruną, spadają na złamanie karku, harczą jak stęsknione psy. Margot opowiadam zwykle o duchach, o tkliwości umarłych, o pięknych miejscach i obrazach, takich jak białe kornety czytających brewiarz beginek,

płynące nad narcyzami na dziecincu klasztoru w Bruges. Basi opowiadam o złośliwych ciotkach, nagłych ucieczkach, niespodziewanych zwrotach akcji i perwersyjnych koligacjach. Skandaliczne wypadki również ją nieco ekscytują. Radek lubi słuchać o sobie, więc nie należy do tej książki, ale za to należy do innych ksiązek. I tak dalej, i tak dalej, każda z opowieści ma swojego ulubionego słuchacza, a każdy słuchacz – opowieść. Zdarza się też, że znajdujemy miejsce, w którym słucha się najlepiej, albo czas, który od razu czeka na tę czy inną historię.

O dziadku Broklu, babci Wandzie i ich dzieciach opowiadałem Basi w Pelplinie.

Jeśli nie byliście w Pelplinie, pojedźcie tam koniecznie. Traficie na małą stację, z której rano odjeżdżają pełne pociągi, a przyjeżdżają puste, a wieczorem odwrotnie; nieco dalej przejdziecie koło rozsypującej się fabryki czegoś tam, cukru chyba, potem mały placyk, kilka domów na krzyż i kiedy straciliście nadzieję na cokolwiek, traficie na olbrzymią średniowieczną katedrę, która, jak ceglana szkatuła o misternych sklepieniach, zamyka w sobie niewyobrażalne gotyki i baroki, amorki i kardynałów, spiętrzone w relikwiarzach czaszki, tańczącego Chrystusa i wiele innych fenomenalnych rzeczy.

To tam mówiłem do Basi:

– Basiu, popatrz, jakie to by było wspaniałe zdjęcie, te światła z witraży na stallach.

A Basia się krzywiła.

– Nie da się. Nie wyjdzie.

– Bujakowi – popatrzyłem z wyższością – by wyszło.